

Marek A. Cichocki, Dariusz Karłowicz: Dziady na Krakowskim

Katastrofa wyrwała nas z iluzji, postawiła w obliczu starej prawdy, że Polska to byt w każdym pokoleniu utrzymywany przy życiu przez garstkę tych, którzy powtarzają „póki my żyjemy”, że właśnie stu spośród nich zginęło, i że – wbrew zapewnieniom błaznów i hipnotyzerów – naszego pokolenia nie ominie pytanie, czy należymy do tego „my” i czy damy radę – pisali Marek A. Cichocki i Dariusz Karłowicz w 6. numerze „Teologii Politycznej”. Tekst ukazał się również w książce „Teby-Smoleńsk-Warszawa”.

Przez kilka miesięcy po tragedii smoleńskiej na Krakowskim Przedmieściu oglądaliśmy niepokojąco znajome sceny polskiego dramatu (te narodowe, zaduszne z cmentarnym krzyżem w centrum i te nie-boskie z lokajstwem Pankracego w roli głównej). W bezpośrednim kontekście katastrofy – niestety nie na deskach sceny – zderzyły się dwa przeciwstawne żywioły polskiej historii: siły powagi i niepowagi, bytu i nie-bytu, roszczenia do formy i bezkształtnej miazgi.

Każdy, kto po katastrofie przychodził na Krakowskie, pamiętał o zniczach. Codziennie na chodnikach i jezdni pojawiały się nowe – naprawdę trudno było uciec od skojarzeń z *Dziadami* – wyglądało to tak, jakby spod pękniętej skorupy wylewały się świeże języki lawy. Bez reżyserów, spin doktorów, bez krytycznych artystów, bez patosu, bez szczególnie poetycznych intencji, tak trochę bezwiednie –

inscenizowano metaforę. Nic nie pomagało, ani barierki, ani gaszenie, ani nawet miejskie służby od wywożenia niewypalonych lampek. Lawa i krzyż. Po raz trzeci za naszej pamięci światła rozlały się po ulicach. Tak było – na wielką skalę – w czasie żałoby po śmierci Jana Pawła II, tak było po śmierci panny S., kiedy krzyże z kwiatów układały na ulicach starsze panie, których wtedy jeszcze nikt nie nazywał moherami i teraz znowu, zresztą w tych samych, jak widać bardzo tektonicznych okolicach miasta. Kiedy wylewa się lawa znaczy, że wspólnota polityczna wyrwała się z drzemki i że już nie ma żartów, bo znów myślimy o tym, co podstawowe: o wolności, solidarności, wierze, słowem o tym, kim jesteśmy, skąd pochodzimy i dokąd zmierzamy (*O file Faidre, poi de kai pothen?*). Teraz myśleliśmy o państwie. Jasne, o różnych rzeczach, ale czuło się, że właśnie to była myśl główna – myśleliśmy o tym, że zamieniono je w coś marnego, obrzydliwego, że odebrano mu powagę, że zanim je na dobre zbudowano, już je popsuto.

W bezpośrednim kontekście katastrofy zderzyły się dwa przeciwstawne żywioły polskiej historii: siły powagi i niepowagi, bytu i nie-bytu, roszczenia do formy i bezkształtnej miazgi

Katastrofa odsłoniła nędzę niepoważnego państwa i przypomniała (na przekór wszystkim urzędowym optymistom) o naszej dziwnej niepewnej kondycji narodu nieustannie

balansującego na granicy bytu i niebytu – narodu, którego może nie być. Kiedy mówimy, że może „nie być”, to niestety nie w tym sensie, że tak jak wszystko na ziemi jest przygodny – tylko w tym, że jest to naród niebędący mieszkańcem państwa mającego siłę, pamięć, powagę i bezwładność – cech, które obywatelom wielu europejskich krajów

pozwalają (naiwnie może, ale z całym przekonaniem) wierzyć, że należą do świata tego, co konieczne. Dlatego oni z wielką pewnością siebie śpiewają „über alles”, albo „le jour de gloire”, a my, że „jeszcze nie zginęła” z naciskiem na „jeszcze” - co zresztą ostatnio wielu z nas wydawało się już bardzo anachroniczne. Katastrofa wyrwała nas z tej iluzji, postawiła w obliczu starej prawdy, że Polska to byt w każdym pokoleniu utrzymywany przy życiu przez garstkę tych, którzy powtarzają „póki my żyjemy”, że właśnie stu spośród nich zginęło, i że – wbrew zapewnieniom błaznów i hipnotyzerów – naszego pokolenia nie ominie pytanie czy należymy do tego „my” i czy damy radę. Szybka i brutalna lekcja przypominająca, że w naszej kondycji jest to pytanie obowiązkowe – nie omija nikogo – bo tylko od nas zależy czy będzie jakiś ciąg dalszy. Czy można się dziwić tym myślom? Katyń, Smoleńsk, śmierć i znowu jakiś parszywy lasek, błoto, obce mundury, poniżająca bezradność, najgorsze przeczucia, tajemnica.

Razem z Dariuszem Gawinem mieliśmy we trzech zaszczyt trzymać wartę przy trumnach Marii i Lecha Kaczyńskich. Przez wiele dni przechodziła przed nimi rzeka ludzi. Dla tych, którzy to widzieli, dwie rzeczy nie ulegają wątpliwości. To nie byli pojedynczy ludzie, to nie było tzw. społeczeństwo, tam przyszedł naród. Oczywiście ludzie przyszli z różnych powodów. Jedni z wdzięczności wobec Lecha Kaczyńskiego, inni ze wstydu, że dali się wciągnąć w szambo politycznego PR-u jego wrogów, ale – i to drugi pewnik – przyszli pokłonić się przed Majestatem Rzeczpospolitej. Dlaczego? Bo przerazili się tym, co odsłoniła katastrofa. Stan nieważkości. Lekkość bytu. Gra bez konsekwencji i odpowiedzialności. Najpierw niezwykle śmieszna gierka z samolotem, który się nie należy. Potem zabawna rozgrywka z rosyjskim ambasadorem w roli rozgrywającego. Wcześniej tysiące wesołych zaniedbań: nieobecność BOR-u, niejasność co do statusu lotu, szkoleń pilotów etc. Zobaczyliśmy brak państwa i brak powagi,

widząc zarazem, że właśnie rola strażnika powagi i podmiotowości czyniła Lecha Kaczyńskiego wrogiem publicznym numer jeden – śmiesznym gościem, kartoflem, bliźniakiem – po którym bez żadnych skrpułów jeździli koledzy z „Dzienników”, „Gazet”, błękitnych telewizji, rozgłośni.

*Zobaczyliśmy brak państwa i
brak powagi, widząc zarazem,
że właśnie rola strażnika
powagi i podmiotowości
czyniła Lecha Kaczyńskiego
wrogiem publicznym numer
jeden*

Kolejne dni
pogłębiały tę trwogę.
Spektakl
nieudolności,
niekompetencji i
lęklivosti,
zdumiewający nawet
dla osób
niemających
specjalnych złudzeń

wobec kwalifikacji i podmiotowości rządu, rozwiewał resztki wątpliwości. Patrzyliśmy jak oddano śledztwo, oglądaliśmy jak niszczone wrak, wybijano szyby, systematycznie niszczone dowody. Czytaliśmy o szczątkach znajdujących w błocie po tygodniach i oniemiaли słuchaliśmy wyjaśnień, jak to doskonale i zupełnie w porządku, że nie mamy czarnych skrzynek, dostępu do miejsca katastrofy, że to naprawdę cudowne, że śledztwo w sprawie śmierci Prezydenta RP prowadzą ludzie Putina (znani ze swej wiarygodności i fachowości), i że z bezgranicznej wdzięczności za to wszystko powinniśmy 9 maja zapalić lamkę czerwonoarmistom, którzy przed laty tak nas wszystkich pięknie „oswobodzili”. Czytaliśmy kolegów (z lewa i niestety z prawa), którzy od razu wiedzieli wszystko, o tym co, kiedy i komu nakazał Prezydent, co zrobili nasi piloci, kto był pijany jak Polak,

kto naciskał na kogo i kto był w kabinie, oraz że na pewno, bez żadnych wątpliwości, bez żadnego śledztwa – bo to po prostu wiadomo i sprawdzać nie trzeba – przyczyną katastrofy nie mógł być zamach.

I tak po kilku latach politycznego cyrku stało się oślepiająco jasne, że polityka to sprawa poważna. Sprawa życia i śmierci. Ministrowie, generałowie, parlamentarzyści, urzędnicy to nie celebryci, debata publiczna to nie konkurs dla paszkwilantów, a historia nie skończyła się wraz z przystąpieniem do Unii i NATO, ale pędzi jak oszałała. To nie komedia! To nie kabaret! To nie happening!

I wtedy przyszedł kontratak.

Powaga była nie do zniesienia. Dla kogo? Przede wszystkim dla tych, którzy w tym miejscu Europy nie chcą poważnego państwa. Ale przecież nie tylko dla wielkich graczy – również dla różnych pajaców, którzy bali się stracić chleb (lub właśnie na niego pracowali), albo tych, którym tak brzydko popsuto dyskurs o triumfie postpolityki. Wreszcie oczywiście również dla tych, którzy chcieli po prostu zapomnieć o tym, co niedawno robili, pisali lub mówili. Ludzka rzecz. Bo powaga to kłopot – wielki kłopot! Zainteresowanych było dostatecznie wielu, żeby zgodzić się na to, co stało się na Krakowskim wokół krzyża – na erupcję bandyckiego nihilizmu, bluźnierstwo, profanację, które mogły przerwać wszystkie strony politycznego sporu. Niestety nie przerwał nikt. Ani marszałek, ani premier, ani szef opozycji. Od tego zaniechania zaczęło się to, co najgorsze. Sceny, jakby żywcem wyjęte z obozu Pankracego, rozlewały się po Krakowskim Przedmieściu, a w nich brali udział całkiem nowi „bohaterowie”.

*Powaga była nie do zniesienia.
Dla kogo? Przede wszystkim
dla tych, którzy w tym miejscu
Europy nie chcą poważnego
państwa. Ale przecież nie
tylko dla wielkich graczy –
również dla różnych pajaców,
którzy bali się stracić chleb*

Symbole tego, co się
działo na obu
poziomach to
Zbigniew S. i
Dominik Taras.
Jeden bez publicity,
chciałoby się
powiedzieć
dyskretny, za to ze
znaczącym
dorobkiem.

Przypomnijmy:

Zbigniew S., pseudonim Niemiec, herszt grupy przestępczej szantażującej Krzysztofa Piesiewicza, z zaliczonym dziewięcioletnim wyrokiem za gwałt i napady z bronią w ręku na agencje towarzyskie. Przychodził codziennie z kolegami i transparentem żarliwie broniącym krzyż przed polityzacją (sic!), sporo rozmawiał z rozbawioną młodzieżą, która szarpała i poniżała modlących się wokół krzyża, żartował, pozował do zdjęć. Widać było, że czuje się bezpiecznie. Polskie media (sławni dziennikarze śledczy!) nie zainteresowały się jego osobą i motywami (z chlubnym wyjątkiem „Rzeczpospolitej” i „Gazety Polskiej”). Widocznie było oczywiste, że pan Zbigniew przychodził wiedziony szacunkiem dla krzyża i zgrozą przed jego profanacją (na szczęście wszyscy rozsądni ludzie w Polsce gardzą spiskową teorią, według której kryminaliści i służby mogą mieć ze sobą coś wspólnego!). Drugim bohaterem – tym razem bardzo eksponowanym – był może niezbyt elokwentny, ale za to podobno bardzo interesujący Dominik Taras, którego media ogłosiły reprezentantem młodych i inteligentnych. Nie wiemy, czy krzyż z puszek po piwie Lech to jego

pomysł, czy też może narodził się w głowach bystrzejszych od niego specjalistów, ale z pewnością dobrze trafił w oczekiwania jego salonowych wielbicieli. A potem już poszło.

Każdej nocy na Krakowskim Przedmieściu można było oglądać zdumiewający spektakl brutalności i chamstwa, odgrywany przed modlącymi się wokół krzyża przez grupki najróżniejszych typów młodzieży – tej z warszawskiego półświatka, ale i tej z nowego, wspaniałego świata. Zadziwiające, że właśnie wtedy, w środku nocy, znikali z Krakowskiego jacykolwiek stróże prawa, znikła straż miejska i policja. Sprawiało to wrażenie, jakby chciano w ten sposób oddać całkiem wolną przestrzeń egzorcystom niepowagi, jakby dawano im znak: macie, dzieciaki, wolną rękę, hulaj dusza, piekła nie ma! Śmielej i więcej! Miejsce jeszcze przed chwilą arcy polityczne, miejsce, gdzie na zawołanie przybyła wspólnota polityczna, zmieniło się nie do poznania. Naród zastąpiła hołota – jakby wrócił żywcem wyjęty z opisów Hobbesa stan natury.

Tych obrazów nie da się już wyrzucić z pamięci. Pytanie brzmi: co się wtedy stało? Odwieczny konflikt między powagą i niepowagą? Afirmacją i negacją? Bytem i nie-bytem? Formą i miazgą? Jeśli tak, to dlaczego powaga przegrała? Dlaczego tak łatwo uciekła z forum do domów, dlaczego znów uwierzyła, że nie ma dla niej miejsca? Kiedy w pierwszych dniach po katastrofie oglądaliśmy niezmierzone tłumy ludzi przyjeżdżających z różnych stron Polski, wraz z wielu innymi sądziliśmy, że z tego zgromadzenia musi wyniknąć jakieś dobro, jakaś zmiana, że to będzie mocny fundament pod inną przyszłość, w której to, co się stało, nigdy więcej nie będzie miało prawa się powtórzyć. Sądziliśmy, że lekcja została wzięta. Kiedy Jan Rokita powiedział, że ludzie pokroju nihilisty z Biłgoraja raz na zawsze znikną z naszego

publicznego życia – nikt nie wątpił, że może być inaczej. Jak bardzo się pomyliliśmy! Wystarczyło kilka tygodni, by niepowaga święciła triumfy, wystarczyło półtora roku, aby nihilista rozsiadł się w sejmie.

*Nawet najbardziej gwałtowny
wybuch politycznej energii,
najbardziej żywiołowe i
bezpośrednie
uaktualnienie się
Rzeczypospolitej nie
znajdując silnej politycznej
formy, rozprasza się*

Stało się to, co w polskich warunkach dzieje się wciąż od nowa. Nawet najbardziej gwałtowny wybuch politycznej energii, najbardziej żywiołowe i bezpośrednie uaktualnienie się Rzeczypospolitej nie

znajdując silnej politycznej formy, rozprasza się, przechodząc w najróżniejsze postaci „wewnętrznych stanów świadomości”. Rządzący nie byli oczywiście zainteresowani utrwalaniem wyrażonej wówczas jedności, definiując ją jako wymierzoną przeciwko sobie i bojąc się, że przerodzi się w rozliczenie dotychczasowej polityki, a przede wszystkim okoliczności, które umożliwiły katastrofę. Pewną rolę odegrała także zwykła małostkowość wobec tragicznie zmarłego prezydenta, pewną – tchórzostwo i oportunizm, gruntowny brak podmiotowości, a wreszcie niezdolność opuszczenia krainy PR-u. Jednak i opozycja – zamiast na jedności wspólnego doświadczenia budować fundament – zajęła się raczej pośpiesznym kłeczeniem barykad. Skutkiem tego zamiast fundamentu zbudowała ściankę działową, przepierzenie wyznaczające nową linię – oś smoleńskiego podziału. Ale czy na pewno nową? Czy w ten sposób nie utrwalono tylko w jakiś zmieniony doraźnie sposób tego, co od dawna stanowi istotę polskiej rzeczywistości? A jeśli nadal

pozostajemy zamknięci w polskim czyścicu, to co z powagą? Nadal pozostaje tylko idea bez politycznej formy, aktualizującą się w chwilach wstrząsu (by kiedyś zniknąć bez reszty)?

Patrząc z perspektywy dwóch lat, można powiedzieć przynajmniej jedno, że w całej tej bezradności my, Polacy, zrobiliśmy wtedy przynajmniej jedno: we wspólnym pogrzebowym kondukcie, drogą królewską na Wawel, wraz z trumnami prezydenckiej pary powieźliśmy na lawetach powagę i złożyliśmy ją w wawelskiej krypcie. Na zawsze? Na lepsze czasy?

Marek A. Cichocki, Dariusz Karłowicz

Fot.: Narodowe Archiwum Cyfrowe

Tekst pochodzi z książki Dariusza Karłowicza „Teby-Smoleńsk-Warszawa”, wydanej staraniem Teologii Politycznej w 2020 roku. Pierwotnie ukazał się w 6. numerze rocznika „Teologia Polityczna”.

